

W. RAORT.

WIDOKÓWKI

(KARTKI Z PODRÓŻY PO POLSCE).

1.

Nie dziwcie się, moi kochani, że dostałem manji pisanie „Listów z podróży” wzorem wszystkich podróżujących obecnie „naszych znanych i cenionych” oraz „rokujących świetne nadzieje na przyszłość” ludzi pióra i nożyc, którzy się poczuwają do miłego obowiązku zasilania krajowych pism perjo- i nie periodycznych swemi wrażeniami z podróży np. ze Lwowa do Jarmucha lub z Krakowa do Ojcowa.

Czynię to jednak z tego powodu, aby moi przyjaciele dowiedzieli się o tem z prawdziwym żalem, że nie złamałem żadnej nogi, że nie brałem udziału w żadnej katastrofie kolejowej, i że jednym słowem wyszedłem cało z tych tarapatów, które nazywamy: podróżą.

Dziś, kiedy już zdołałem obmyć się ze sadzy i u okulisty wydobyłem ostatni kawałek węgla z oka, wspominam dość mile ową podróż pospiesznymi parowozami, które mają tę jedną zaletę, że pomimo drożyzny węgla obsypują pasażera obficie mialkim węglem górnośląskim i bardzo wesoło gwizdają, ale za to cierpią na manję wielkości, udając pośpiech, podczas gdy w rzeczywistości wcale się nie spieszą.

Innego zdania był jednak mój przyjaciel, a zarazem jeden z najzdolniejszych poetów lwowskich, który ze mną zaryzykował tę podróż, gdyż w czasie jazdy usiłował nawet deklamować „Farysa”, w którym jest mowa o szalonym pedzie w dal...

Poeci są już zawsze tacy! Wogóle co do różnicy zdań między mną, a kochanym poetą, to przyznać muszę, że były one dość częste.

W jednym tylko doszliśmy do zupełnego porozumienia w czasie dwutygodniowej podróży, t. j. aby wracać do Lwowa, gdy zauważyliśmy, że nie mamy pieniędzy.

A przecież to tak niedawno temu, gdy uszyłem sobie płócienny woreczek, w który włożyłem przeszło dwieście złotych oraz wolny bilet kolejowy i wszystko to razem zawiesiłem sobie na szyi pod koszulą, prosząc Pana Boga aby mnie uchronił od manji wielkości, w jaką często popadają ludzie nagle wzbogaceni.

Jeszcze dziś pamiętam te nasze długie rozmowy, jakie prowadziłem z moim towarzyszem podróży, na temat rozkoszy, którą odczuwają ludzie bogaci, którzy sobie niczego odmawiać nie potrzebują.

Zastanawialiśmy się, czy w Wilnie wynajmiemy sobie auto na cały dzień i czy nie lepiej by było gdybyśmy na Helu zamieszkali w dwóch oddzielnych apartamentach w jakiejś malowniczo położonej willi nad brzegiem morza... Pamiętam nawet, że doradzałem, abyśmy udawali cudzoziemców i przyjęli sobie na czas naszej podróży, jakiegoś dobrze prezentującego się służącego w liberji.

O jakże prędko przyskają sny o potęgde!

Dwa tygodnie wystarczyły, abyśmy się przekonali, że musimy wrócić do Lwowa, by pisać dalej feljetony i „artykuły”. O dolo-ż nasza, dolo!

Wyjeżdżając do Wilna przez Zdobunów, Sarny, Baranowicze i Lidę czułem się w skórze Forda wyjeżdżającego na własnym jachcie w podróż naokoło świata i serdecznie współczułem z tymi wszystkimi, którzy nie nosili na szyi pod koszulą woreczka z przeszło dwustu złotymi, nie licząc drobnych.

Siedząc w przedziale pierwszej klasy, myślałem sobie: „Dobrze jest na świecie w pierwszej klasie” i przyciskałem do piersi ów kochany woreczek, co miało mi otworzyć bramy Sezamu.

Mój towarzysz podróży czynił to samo ze swoim woreczkiem, lecz bardziej nerwowo, gdyż zdołałem go w międzyczasie poinformować, że między Dubnem a Zdobunowem grasuje od pewnego czasu kuzyn atamana Muchy, który

ze specjalnem zamiłowaniem wskakuje do przedziałów pierwszej klasy i lekkim poderżnięciem gardła ubezwładnia pasażerów noszących woreczki na piersiach.

Poczęliśmy się zastanawiać nad różnymi sposobami napadów bandyckich ostatnich czasów i postanowiliśmy stanowczo nie przyjmować od nikogo zatrutych papierosów, nie wdawać się z nim w rozmowę i w razie gdyby na lepszy zapach chloroformu doszedł do naszych nozdrzy, natychmiast pociągnąć za hamulec bezpieczeństwa.

Na pociągnięcie hamulca moglibyśmy sobie tem łatwiej pozwolić, że znajdowaliśmy się w wagonie, gdzie wyraźnie było napisane: „Missbrauch der Notbremse wird mit 2-5 Kronen bestraft. K. k. Österreichische Staatsbahnen”.

Była to całkiem tania przyjemność, wobec tego, że korona austriacka stoi wobec naszego złotego pod psim i dlatego urządziliśmy wręcz choćby najmniejszego niebezpieczeństwa pociągnąć za hamulec, płacąc lojalnie koszt po polowie.

A pociąg tymczasem stał pod oszkloną halą dworca kolejowego we Lwowie, sapiąc i prycając parą, jakby zbierał siły do skoku w ciemną dal.

— Dobrze, że znaleźliśmy osobny przedział; będzie można się zdrzemnąć — zauważył mój przyjaciel, rozciągając się na miękkiej kanapie.

— Dobrze i nie dobrze — wiraciłem. — Do Brodów możemy jeszcze jako tako być spokojni, bo będziemy na terenie Małopolski, ale już od Dubna Bóg raczy wiedzieć co będzie... Słyszałem, że policja w tych stronach jest zupełnie bezradna i że napady na pociągi są tam na porządku nocnym... Pewnemu kupcowi w pierwszej klasie wbiło nóż w brzuch, aż mu wyszedł kręgosłup... Z tym kuzynem Muchy niema żartów!

— Przestań mnie denerwować, idjoto! — rzekł uprzejmie mój przyjaciel, ocierając sobie kroplisty pot z czoła. — O! lepiej przypatrzmy się tej mapie, którądy jechać mamy...

To mówiąc rozłożył mój przyjaciel mapę układu pana Bazewicza z Warszawy, która (t. j. mapa, a nie Warszawa) stała się przyczyną wielu naszych klęsk, nieporozumień i utrapień w czasie podróży.

Tymczasem wszedł do przedziału konduktor i zapytał nas głosem Torquemady dokąd jedziemy.

Nie mogło mi się w głowie pomieścić, aby konduktor nie wiedział, że jedziemy do Wilna, więc odparłem z pewną nonszalancją: „Chyba pan widzi, że do Wilna”.

— Pan może jechać sobie i do Wilna, ale ten wóz „idzie” tylko do Tarnopola! — odparł miły konduktor i nim spostrzec się zdołaliśmy, opuścił nasz przedział.

Lotem błyskawicy porwaliśmy nasze walizy i za chwilę znaleźliśmy się w sąsiednim wozie.

Otarłszy pot z czoła, usadowiliśmy się natychmiast na starannie zanieczyszczonych sofach przedziału i zamknęliśmy z wewnątrz drzwi, aby się uwolnić od nieproszonych intruzów.

— Zdaje się, że już mamy pół godziny spóźnienia? — zauważył mój przyjaciel.

— Dziękujemy Bogu i za to, gdyż inaczej byłibyśmy już od pół godziny w drodze do Tarnopola, chociaż i teraz nie mógłbym przysiąc, że jesteśmy we właściwym wagonie...

Mój przyjaciel, który właśnie był w trakcie rozpakowywania swoich prowiantów i walizy, popatrzył na mnie wzrokiem od którego zrobiło mi się nieco słabo i irzasnął zamasyścić wiecierem walizy.

— Że ty też zawsze musisz mnie zdenerwować!

— Dla wszelkiej pewności zdałoby się jednak zapytać konduktora — odparłem flegmatycznie.

Otworzyłem okno i spytałem się jakiegoś bardziej okopconego niż sympatycznego kolejarza: „Przepraszam najmocniej, czy nie mógłby mi pan powiedzieć dokąd my jedziemy?”

— O tem chyba panowie najlepiej musicie wiedzieć — odparł nie bez pewnej racji prześmiany kolejarz.

— Ma pan zupełną rację, panie naczelniku, ale ja pragnąłbym się dowiedzieć czy ten wóz przypadkiem także nie jedzie do Tarnopola...

— Nie, tylko do Podwołoczysk.

— Jezus! Marja! — zawył mój przyjaciel. — Wysiadaajmy!

Wysiedliśmy.

Skonstatowałem z zadowoleniem, że mam jeszcze mój woreczek na piersi i nadto jeszcze kilka odgniotów na rękach od dźwigania ciężkiej walizy.

— Ależ my się chyba nigdy do tego Wilna nie dostaniemy! — zawołał z dużym rozgoryczeniem mój towarzysz. — To jest w gruncie rzeczy ostatni orzędny bałagan!

— Nie widzę powodu, dlaczego nie moglibyśmy się przejechać do Podwołoczysk lub Tarnopola, jeśli nam z tą podróżą do Wilna jakoś nie idzie — wtrąciłem bez żadnego zamiaru denerwowania mego przyjaciela.

Mój przyjaciel natomiast popatrzył na mnie wzrokiem, od którego mi się wątroba zapiekła i postawiwszy walizę na peronie, znikł mi na chwilę z oczu.

W międzyczasie poczęłem się dokładnie nad tem zastanawiać, jak to jest możliwe, aby pociąg odchodzący do Wilna, mógł równocześnie odchodzić do Tarnopola i Podwołoczysk, czyli w trzech różnych kierunkach i zanim doszedłem do jakiegokolwiek konkluzji, powrócił mój przyjaciel w towarzystwie jakiegoś umundurowanego gentelmana, który nas uświadomił, że jedyny wóz drugiej klasy mający bezpośrednie połączenie do Wilna, znajduje się zaraz za parowozem i że jeśli natychmiast nie zajmiemy miejsc, to możemy jutro o tej samej porze wyjechać ze Lwowa.

— Ależ ja zapłaciłem za bilet pierwszej klasy, a pan nas traktuje drugą klasą! — zawołałem oburzony, pomny, że posiadam bilet bezpłatnej jazdy.

— Wstydyłbyś się przynajmniej tego człowieka okłamywać! — zauważył mój przyjaciel i porwawszy swoją walizę i tobołki, pobiegł w kierunku parowozu.

— W swoim życiu nie jechałem jeszcze drugą klasą — skrzyłem się umundurowanemu gentelmanowi, idąc ku wskazanemu wozowi. — Proszę pana o dyskrecję, gdyż wstydyłbym się moim znajomym w oczy popatrzeć. Pan zrozumie, że moje prestige tego wymaga...

Umundurowany gentelman współczuł ze mną szczerze, zapewniając mnie poraż setny, że w kierunku do Wilna nie odchodzą niestety żadne wozy pierwszej klasy.

Po chwili siedziałem znowu w trzecim z rzędu wozie obok mego przyjaciela, który wykręcał sobie mokry z potu kołnierzyk i w antrakcie bawił rozmową jakiegoś obcego współtowarzysza podróży, który patrzył na nas dość nieprzytomnie i idyotycznie, z czego dorozumiałem się intuicyjnie, że jedziemy w towarzystwie jakiegoś wyższego urzędnika ministerjalnego.

Aż wreszcie gwizd.

Jedziemy!

Coś zachrobotało we wnętrzu dychawicznej maszyny, targnęło całym pociągiem, zadzwieczało niesamowicie łańcuchami, rzuciło nas dwa razy wstecz, raz w przód i znowu trzy razy wstecz i — dalej bóg jedzie!

(Ciąg dalszy nastąpi).

PALUGYAY SEC